

ŚLADAMI ŚW. FRANCISZKA ... TRZY KROKI KU BOGU

Odpowiedź na wezwanie

Zgromadzenie Sióstr Wspomożycielek Dusz Czyścących
Sulejówek

Wprowadzenie

W tym opracowaniu opisany jest ostatni etap zmagañ Franciszka na drodze poznawania Boga oraz odczytywania Jego woli.

Młody człowiek, który przeczuwa, że Jezus zaprasza go do szczególnej bliskości z Nim często obawia się powierzyć swoje życie Bogu, bo jeszcze nie wie czego chce, bo lęka się, że to co słyszy w sercu może być tylko złudzeniem i nie chce doświadczyć porażki. Niekiedy boi się, bo dostrzega, że taki sposób życia nie jest akceptowany przez grono przyjaciół czy też przez członków rodziny. Jak obronić w sobie głos powołania? Jak stawić czoła przeciwnościom? Jak upewnić się, że to właśnie mnie po imieniu wzywa Pan? Jak pokierować swoim życiem, żeby nie przegrać młodości, żeby nie minąć się ze swoim powołaniem?

Dojść do tego, by wiedzieć czego się chce, na czym nam zależy, do czego chcemy dążyć w życiu - to już połowa sukcesu! Wtedy nie przegramy życia. Młodość jest czasem dochodzenia do tego właściwego i jedyne dla każdego z nas „chcę”, które przewidział dla nas Pan Bóg. Czasami trwa to kilka lat, a niekiedy tylko kilka miesięcy, ale każdy z nas otrzymuje odpowiednie łaski od Boga, żeby móc swoje poszukiwania zwieńczyć stwierdzeniem: „To jest to, czego chcę” i być - podobnie jak św. Franciszek - człowiekiem szczęśliwym.

Gorycz słodczy

Najskuteczniejszym sposobem wsłuchiwania się w głos Boga jest modlitwa. Dlatego Franciszek często udaje się ze swoim przyjacielem do pewnej groty położonej w pobliżu miasta, aby tam

zatopić się w uszczęśliwiającej obecności Pana i prosić Go, „by mu ustawicznie pomagał w zdobywaniu skarbu niebieskiego”. Jednak wchodzi tam sam. Swego towarzysza pozostawia na zewnątrz, nawet nie do końca informując o tym, co tam robi, mimo że - jak relacjonują biografowie - bardzo go kochał. Franciszek twierdził tylko, że znalazł wielki i cenny skarb i niczego więcej nie wyjaśniał. Przyjaciel chętnie z nim chodził, mając nadzieję, że i jemu coś z tego skarbu się dostanie.

To samotne przebywanie na modlitwie w grotcie jest potwierdzeniem tego, jak intymną rzeczą jest rodząca się miłość między człowiekiem i jego Panem. Gdy On zaprasza do bliskości, niejako przymusem - słodką koniecznością - jest przebywanie z Nim sam na sam. W tę rzeczywistość po prostu nie da się wprowadzić żadnego drugiego człowieka - nawet umiłowanego przyjaciela. Przebywając blisko jest on jakby zmuszony do pozostawiania z dala od skarbu ukrytego w głębi grotty.

Jednak - jak i przy wydobywaniu skarbu z ziemi - oprócz radości, doświadczamy trudu, tak też i młody Bernardone musiał przejść przez swoiste zmagania. Gdy w samotności gorliwie się modli „Wróg rodzaju ludzkiego widząc to usiłuje odwieść od dobrego dzieła, zasiewając w jego duszy bojaźń i przerażenie. Była bowiem w Asyżu pewna bardzo garbata kobieta. Ukazujący się zły duch często przypominał ją Franciszkowi i groził, że przeniesie na niego wspomniane kalectwo, jeśli nie wycofa się z urzeczywistnienia tego zamiaru”.

Odtąd Franciszkowa modlitwa stała się udręką i ogromnym cierpieniem. Musiał walczyć, aby nie ulec przerażeniu, które budziło w nim wspomnienie tej garbatej kobiety i myśl, że tylko tyle zostanie z jego pobożności, że takim szkaradnym plonem zaowocuje jego nawrócenie. Franciszek usiłował odsunąć od siebie pogrożki szatana, błagając Boga, aby to On „raczył prowadzić go po swojej drodze”, ale nie odczuwał żadnej wyraźnej ulgi. Bóg milczał. Natomiast udręki wciąż się nasilały. Były tym większe, gdy do tych wyobrażeń o garbatej kobiecie dochodziły także wspomnienia popełnionych grzechów i tych wszystkich marnych rozrywek, którym z takim upodobaniem się oddawał. Żałował tego bardzo, ale nie miał przy tym pewności, że w przyszłości będzie wierny.

Nigdy dotąd modlitwa nie była tak przesycona goryczą jak teraz. I nic w tym dziwnego - było to spełnienie danej Franciszkowi obietnicy, że gdy odwróci się od dawnego życia i uzna je za godne wzgardy, wówczas to, co wydawało mu się kiedyś miłe i słodkie, będzie dla niego nie do zniesienia i przykre. Wobec tego, tak naprawdę, Bóg nie milczał, przemawiał, ale tym razem nie jakimś wewnętrznym słowem czy poruszeniem serca, ale konkretnym doświadczeniem. W ten sposób przeprowadzał On swego Wybrańca przez kolejny etap drogi, konieczny do podjęcia powołania.

Jest to jednak dość „twarda mowa”. Szczególnie dla współczesnego młodego człowieka, który chciałby rozeznanie woli Bożej przeprowadzać tak, jak poszukuje się pewnej wiedzy w Internecie: wpisać hasło, nacisnąć „enter” i gotowe. Jednak mimo postępu techniki i nieuniknionej w związku z tym zmiany ludzkiej mentalności, sposób odczytywania drogi powołania zawsze będzie pewnym procesem i to dość bolesnym.

Może dlatego, gdy dłuższy czas odczuwamy wewnętrzną rozterkę, gdy nawet modlitwa nie przynosi ulgi, ale staje się terenem uciążliwych zmagania z wytworami wyobraźni, nie możemy oprzeć się przeświadczeniu, że Bóg nas opuścił... Jeżeli zaś opuścił, to znaczy, że nie powołał, a więc te wszystkie wcześniejsze dotknięcia Jego łaski miałyby być tylko złudzeniem?

Żeby z tego trudnego etapu przemiany słodczy w gorycz wyjść zwycięsko trzeba tak, jak Franciszek, mimo wszystko, trwać przy Panu i nie zmieniać swoich postanowień.

Zawołany przez Miłość

W odkrywaniu drogi powołania nie da się niczego przyśpieszyć, a tym bardziej poukładać po swojemu biegu wydarzeń, bo tutaj reżyserem jest sam Bóg. I ile jest osób powołanych, tyle też odrębnych scenariuszy działania łaski w sercu człowieka. Nie mniej jednak przyglądając się historiom powołania innych ludzi, a szczególnie tych uszlachetnionych wielką miłością do Boga, czyli świętych, każdy z nas może odnaleźć jakieś małe światełko dla siebie. Dlatego śledząc dzieje nawrócenia św. Franciszka z Asyżu dowiadujemy się, że najważniejsze jest, aby zaufać Bogu i przy Nim trwać mimo wszystko - jak to uczynił Franciszek.

Udręki wewnętrzne, których doznawał na modlitwie nie zniechęciły go do wytrwałego błagania Boga o wskazanie co ma dalej czynić. Wierność modlitwie, mimo doznawanej goryczy, zaowocowała wkrótce kolejnym tchnieniem łaski. Pan Bóg dał mu poznać, że niedługo otrzyma odpowiednie pouczenie. Serce Franciszka nappełniło się ogromną radością i chociaż o jej przyczynie nikomu nie mówił, a nawet starał się ukryć przed innymi, to i tak jego rozpromienione wnętrze mówiło samo za siebie.

W odczuciu grona kolegów po prostu coś dziwnego działo się z Franciszkiem. Coś, czego oni nie byli w stanie zrozumieć. Niby był wśród nich, ale jakby nieobecny zarazem. Zamyślony, małowówny, nazbyt dyskretny. Dlatego ponownie uciekali się do kpiny, pytając czy przypadkiem nie ma zamiaru się ożenić. Można więc przypuszczać, że dla osób postronnych Bernardone musiał zachowywać się podobnie jak zakochany młodzieniec.

Właściwie była to prawda. On był zakochany, tyle że nie w kobiecie, a w samej Miłości. Może rzeczywiście trudno zrozumieć takie rozkochanie się w Panu Bogu, ale chyba tylko tym, dla których jest On jedynie Sędzią i uosobieniem władzy. Kimś, kogo należy się lękać i najlepiej oddawać Mu należną cześć, ale tak na wszelki wypadek obchodzić z daleka.

Franciszek już wiedział jak bardzo słodki jest Bóg w swej miłości do człowieka, jak obezwładnia serce jednym dotknięciem łaski, jak się później za Nim tęskni, jak bardzo oczekuje, żeby ponownie zaistniał, żeby przemówił... Nic więc dziwnego, że chodził jak „zauroczony”, obecny i jakby gdzieś oddalony, bo zewnętrznie przebywał wśród ludzi, ale sercem i duszą był przy Panu.

W takim miłosnym czuwaniu serca łatwo wychwytuje się nawet bardzo delikatne wewnętrzne natchnienia Boże. I oto, jak czytamy w jednej z biografii Świętego, gdy kilka dni później Franciszek „przechodził koło kościoła św. Damiana, zostało mu powiedziane w duchu, by wszedł tam na modlitwę. Wszedł więc do kościoła i zaczął żarliwie błagać Pana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, który przemówił do niego łagodnie i słodko, mówiąc: 'Franciszku, czyż nie widzisz, że ten dom mój chyli się ku upadkowi? Idź więc i napraw mi go!' Drżący i zdumiony powiedział: 'Panie, chętnie to uczynię'. Myślał, że chodziło o ten kościół, który z powodu starości był zagrożony rychłą ruiną”.

Ukrzyżowany przemówił! Czy to możliwe, żeby Bóg tak bezpośrednio zwracał się do człowieka? Czy naprawdę Chrystus zna każdego z nas po imieniu? Jak Franciszek usłyszał Jego głos: w sercu czy tak, jak słyszymy mówiących ludzi? A może temu rozpalonemu pobożnymi pragnieniami młodzieńcowi tylko się wydawało, że coś usłyszał?

Bóg wzywa po imieniu

Aż się wierzyć nie chce, żeby Pan Bóg mógł znać każdego z nas po imieniu - a jednak... Zapewnia nas o tym sam Jezus (J 10,3). On zna nasze imiona zanim jeszcze przyjdą one do głowy naszym rodzicom, a nawet zanim poczęliśmy się w łonie matki, bo też i konkretnym powołaniem obdarza człowieka zanim narodzi się dla świata: „Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię, nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię, prorokiem dla narodów ustanowiłem cię” - zapewniał Bóg, powołując Jeremiasza (Jr 1,5). Niepojęte..., ale prawdziwe, bo dokonało się także w życiu św. Franciszka, który modląc się w zrujnowanym kościółku San Damiano nagle usłyszał wypowiedziane z Krzyża, łagodnie i słodko, swoje imię: „Franciszku...”

Co to oznaczało dla syna Piotra Bernardone? Jakie to ma znaczenie dla każdego z nas, że Bóg woła człowieka po imieniu? Otóż w biblijnym rozumieniu imię ma ogromne znaczenie. To, co go nie posiada po prostu nie istnieje, jest nicością. Bóg dokonując dzieła stworzenia nadawał wszystkiemu imię, a wiemy że stwarzał świat ex nihilo, czyli z nicości. Dlatego, gdy zwraca się do Franciszka po imieniu, to jakby stwarza go na nowo, powołuje z chaosu, z nicości jego dotychczasowego stylu życia do życia nowego, do życia poddanego Bożemu zamysłowi, a tym samym Bożemu porządkowi. W takim życiu nie ma już miejsca na chaos, bo skupia się ono wokół jednoczącego centrum - wokół Pana.

Podobnie dzieje się z każdym człowiekiem odkrywającym swoje powołanie. Nie jest on jakąś anonimową cząstką ogromnego wszechświata. Ma konkretne zadanie do wykonania, do którego wzywa go Stwórca, wzywa po imieniu. Jakkolwiek wyglądałoby dotąd nasze życie, gdy usłyszymy głos Boga, musi ono ulec radykalnemu przewartościowaniu.

Zobacz i odbuduj

Do każdego młodego człowieka, poszukującego swojej drogi powołania, Jezus kiedyś przemówi łagodnie i słodko - jak do Franciszka. Byleby tylko serce ludzkie było na tyle wrażliwe, żeby to słowo usłyszeć i na tyle otwarte, aby pójść za tym, do czego ono wzywa. Poddanie się woli Pana i np. wstąpienie do zakonu nie oznacza bowiem przejścia do jakiegoś błogostanu - do rajku na ziemi, a niestety wielu osobom właśnie tak się wydaje. Dlaczego?

Może z tego powodu, że doświadczając w swoich rodzinach, w szkole czy w pracy różnych trudności, rozczarowań, bólu i cierpienia, chcą po prostu uciec w lepszy świat, ale innego świata nie ma. Jest ten jeden stworzony przez Boga, a w nim wszędzie tacy sami - słabi i grzeszni ludzie. Jezus, powołując do zakonu czy do kapłaństwa nie zaprasza do odpoczynku, ale do pracy: „Ja was wybrałem i przeznaczyłem na to, abyście szli i owoc przynosili i by owoc wasz trwał” (J 15, 16). Bóg wzywa do pracy w swojej winnicy, do uprawy roli, która - jak nam podpowiada Pismo Święte - cieżka i oset będzie rodziła i tylko w pocie czoła będzie można wydobywać z niej pożywienie (por. Rdz 3, 18-19).

Młody Bernardone też musiał to zrozumieć i dlatego Jezus przemówił do jego serca bardzo konkretnie: „Franciszku, czyż nie widzisz, że ten dom mój chyli się ku upadkowi? Idź i napraw mi go”. Łagodnie i słodko wypowiedziane pytanie „Czyż nie widzisz, że...?” można zrozumieć jako wezwanie do odzyskania wzroku. Trzeba więc najpierw zobaczyć ruinę, ale też na tym nie poprzestać - zobaczyć i nie przestraszyć się; zobaczyć po to, aby się nad nią zlitować tak, jak Bóg lituje się nad wszelką ruiną, zmieniając pustynię w piękny ogród (por. Iz 51,3).

Każdy człowiek, który wchodzi w bliższą zażyłość z Bogiem, wsłuchuje się w Jego słowo i pragnie poznać Jego wolę dostrzeże w pewnym momencie również i to, co chyli się ku upadkowi. To znaczy co? Choćby ruinę własnej rodziny: bo może rodzice piją, albo dawno się rozeszli; może w domu słyszy się tylko kłótnie i wrzask; może nikt się nikim nie interesuje, nie okazuje miłości... W ruinie mogą być także ludzkie uczucia i relacje z rówieśnikami, zdrowie, sprawy szkolne czy zawodowe, sumienie.

To wszystko są walące się budowle ludzkiego życia. Łatwo jest je zauważyć, ale żeby chcieć wejść do ich wnętrza nie z krytyką i zaciśniętymi pięściami, ale z modlitwą... trzeba Bożej łaski. Pokazuje nam to przykład Franciszka. Biografowie piszą, że gdy przechodził koło kościoła św. Damiana zostało mu powiedziane w duchu, żeby wszedł tam na modlitwę. Gdy znalazł się w środku zaczął żarliwie zanosić błagania przed wizerunkiem Ukrzyżowanego. Wtedy usłyszał Jego głos, który był odpowiedzią na zadane kiedyś przez Franciszka pytanie: „Co chcesz, Panie, abym czynił?” Jezus odpowiedział bardzo konkretnie: idź i napraw to, co chyli się ku upadkowi.

Tak więc nie gdzie indziej, ale w ruinie - w czymś, czego się lękamy, co byśmy chcieli ominąć, albo od tego uciec, albo po prostu zniszczyć, żeby nie zawaliło się nam na głowę - objawia się woła Boża, bo w samym centrum wszelkiej ruiny zamieszkuje sam Ukrzyżowany.

Stygmaty serca

Franciszek modlił się we wnętrzu zrujnowanego kościoła. O co się modlił? Łatwo to zauważyć śledząc poszczególne wezwania, które kierował do Boga przed wizerunkiem Ukrzyżowanego. Jest to modlitwa siedmiu prośb. Młody Bernardone wciąż nie wiedział co tak konkretnie ma zrobić ze swoim życiem, a więc możliwe, że wciąż doświadczał uciążliwej ciemności w swoim sercu i dlatego najpierw prosi Boga o światło. Następne wezwania dotyczą trzech najważniejszych cnót, które najbardziej zbliżają człowieka do Boga i pozwalają przy Nim trwać, mimo dręczącej niepewności o przyszłość. Kolejne zaś wiążą się z ogromnym pragnieniem Franciszka, żeby swoim życiem pokierować tak, jak tego chce Pan Bóg. Dlatego nie dziwi fakt, że usłyszawszy od Chrystusa wezwanie do odbudowy domu tak chętnie tego zadania się podjął. On przecież właśnie o to prosił - o poznanie woli Bożej i wypełnienie jej.

To, czego Franciszek doświadczył, modląc się w kościele św. Damiana, na pewno przerosło jego oczekiwania. Nie spodziewał się, że usłyszy głos Boga. Był tym zdumiony i poruszony tak mocno, że - jak czytamy w Relacji Trzech Towarzyszy - aż drżał. Dlaczego właśnie w taki sposób Chrystus objawił mu to zadanie? Nie wiemy. Chyba Franciszek też nie wiedział, ale zapewne nie miał wątpliwości, że to, co usłyszał nie było złudzeniem. Możemy to wywnioskować z tego, co potem działo się w jego życiu. Nastąpił bardzo wyraźny duchowy przełom, całkowite zwrócenie się do Boga. Biografowie twierdzą, że to był początek umiłowania nade wszystko Chrystusa Ukrzyżowanego. Podczas tej modlitwy Franciszek otrzymał duchowe stygmaty - rany miłości,

które później na górze Alwernii ukazały się także na jego ciele. Już do końca życia Biedaczyna z Asyżu opłakiwał mękę Chrystusa, co w konsekwencji spowodowało poważną chorobę oczu.

Ale co robi syn Piotra Bernardone po tym niezwykłym dotknięciu łaski Bożej? Zrozumiał, że ma odbudować ten kościół, w którym się modlił, napełniony radością i światłem, wychodząc z niego, spotkał siedzącego obok księdza. Ofiarował temu kapłanowi pewną sumę pieniędzy na oliwę i poprosił, żeby zadbał o nieustanny płomień w lampie przed Krucyfiksem.

Potem wsiadł na konia i pojechał do Asyżu. Tam wziął ze sklepu ojca różne materiały i sprzedał je w pobliskim miasteczku Foligno. Po czym wrócił do San Damiano, żeby ofiarować księdzu pieniądze na odbudowę kościoła. Ten jednak, znając dotychczasowe próżne życie Franciszka i porywczy charakter jego ojca nie chciał tej ofiary przyjąć. Natomiast ulegając usilnym prośbom młodzieńca pozwolił mu ze sobą zamieszkać. Nie wrócił więc do domu, nie wytłumaczył się ojcu z brakujących w sklepie materiałów, po prostu zniknął. Pieniądze rzucił na okno i zabrał się do pracy przy odbudowie zrujnowanego kościoła.

Zobaczmy, że Franciszek podejmując zadanie powierzone mu przez Pana, zabiera się za jego realizację tak, jak go nauczył ojciec - po kupiecku. Żeby odbudować trzeba mieć pieniądze, a pieniądze uzyskuje się ze sprzedaży, więc sprzedał materiały, ale nie swoje, bo ich nie posiadał, więc je wziął ze sklepu ojca. Prawdopodobnie nie pierwszy raz w ten sposób postąpił, ale po raz pierwszy chciał te środki spożytkować na coś innego niż zabawa z przyjaciółmi. To, co z nimi zrobił, gdy ksiądz odmówił ich przyjęcia świadczy, że w ogóle pieniądze nie miały dla niego zbyt wielkiej wartości - łatwo je zdobywał i w dużych ilościach trwonił.

Ostatecznie postępowanie Franciszka kończy się sprawą w sądzie. Dlaczego? Otóż Franciszek opuścił dom, żeby pójść za głosem Bożego wezwania, ale dom nie opuścił Franciszka. Pozostała w nim kupiecka mentalność. Nie wlewa się młodego wina do starych bukłaków - poucza Ewangelia. Podobnie też nie da się prowadzić nowego życia starymi metodami, bo to z konieczności prowadzi do rozczarowań, konfliktów i pęknięć.

Czas duchowej przemiany

Nagle zniknięcie syna i brak materiałów w sklepie zaniepokoiły i rozgniewały Piotra Bernardone, rozpoczął więc poszukiwania. Gdy już dowiedział się, gdzie przebywa Franciszek, jak się zmienił i czym się zajmuje, wzburzony pobiegł do niego wraz z grupą przyjaciół i sąsiadów. Jednak nie znalazł syna. Franciszek przejęty strachem zdążył uciec przed gniewem ojca do upatrzonej wcześniej groty. Ukrywał się w niej cały miesiąc, „modląc się ustawicznie, zalany obficie łzami, by Pan uwolnił go od szkodliwego prześladowania i by dzięki swej łaskawej życzliwości udzielił mu łaski potrzebnej do zrealizowania jego pobożnych pragnień”.

Te trzydzieści dni postu (bo jadł niewiele) i modlitwy stały się dla młodego Bernardone swoistym czasem rekolekcji, czasem dojrzewania do wzięcia całkowitej odpowiedzialności za decyzję oddania Chrystusowi swojego życia. Zrozumiał, że przecież nie może w nieskończoność siedzieć wśród skał i drzew z lęku przed rozgniewanym ojcem. Nie znajdując jednak w sobie wystarczającej siły, aby zmierzyć się z tymi przeciwnościami błagał o nią Boga. Biografowie piszą, że „zdecydowanie położył swą nadzieję właśnie w Panu” i dzięki temu, choć doświadczał ogromnego

lęku i wewnętrznych ciemności, w głębi serca odczuwał niewypowiedzianą radość opromienioną cudowną światłością.

Franciszek należał już do Chrystusa, ale nie miał jeszcze odwagi stawić czoła własnemu ojcu, którego na pewno kochał i któremu tak wiele zawdzięczał. Można się domyślać, że w sercu doświadczał niemałego rozdarcia. Chciał służyć Bogu, ale wiedział, że ojciec czegoś innego od niego oczekiwał. Wiedział też, że jest on człowiekiem porywczym, z którym nie da się tak po prostu porozmawiać i wyjawić przyczyn swojego postępowania. Niestety nie mógł liczyć na zrozumienie. Zdawał sobie też sprawę z tego, że ojciec boleśnie zawiódł się na nim. Spodziewał się bowiem, że Franciszek kiedyś przejmie sklep, pomnoży majątek i przyniesie chlubę całej rodzinie. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Zamiast chwały wstyd, zamiast zysku straty, zamiast rycerskiej sławy hańba i drwiny. W takiej sytuacji łatwiej zrozumieć dlaczego Franciszek aż tak się lękał, że przez miesiąc siedział w grocie, zalewając się łzami i błagając Boga o pomoc.

W końcu nadszedł ten dzień, w którym w promieniach łaski Bożej dojrzał do opuszczenia kryjówek. Dotarło do niego, że Pan Bóg sam umożliwia człowiekowi osiągnięcie tego, czego od kogoś oczekuje. Wszedł z groty zupełnie przemieniony. Żarliwe modlitwy do Pana zaowocowały obficie - już się nie lękał, ale „uradowany udał się pospiesznie do Asyżu. Uzbrojony ufnością w Chrystusa i zapalony żarem Bożym, wyrzucając sobie dawny brak odwagi i próżny strach, wydał się w ręce prześladowców i jawnie wystawił na ich ciosy”.

W tym miejscu trudno nie przypomnieć sobie słów św. Pawła, które, być może, brzmiały też w sercu Franciszka: „Wiemy, że Bóg z tymi, którzy Go miłują współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według Jego zamysłu. (...) Cóż więc powiemy? Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam? (...) Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz? Jak to jest napisane: Z powodu Ciebie zabijają nas przez cały dzień, uważają nas za owce na rzeź przeznaczone. Ale we wszystkim tym odnosimy zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował. I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierchności, ani rzeczy terazniejsze, ani przyszłe, ani moce, ani co jest wysoko, ani co głęboko, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Jezusie Chrystusie, Panu naszym” (Rz 8, 28; 31; 35-39).

Gdy Franciszek wycieńczony umartwieniami szedł ulicami Asyżu, ci którzy go wcześniej znali, uważając teraz za wariata, obrzucali go wyzwiskami, obelgami i błotem. Jednak on nic sobie z tego nie robił, ale umocniony łaską wszystko znosił, a nawet wyrażał Bogu wdzięczność. Ojciec usłyszawszy, że to jego syna tak wyzywają „Bez żadnego panowania nad sobą (...) podniósł na niego swą bezbożną rękę. Wlokąc go zaś do domu i przez wiele dni przytrzymując w ciemnym lochu, usiłował słowami i biciem nakłonić z powrotem jego duszę ku marnościami tego świata”.

Analizując te wydarzenia z życia Biedaczyny z Asyżu można zauważyć pewną prawidłowość, która w wielu przypadkach funkcjonuje do dziś w relacjach między dziećmi, których pociągają bardziej sprawy Boże, a ich rodzicami. Rodzic wychowując kilkanaście lat swoją córkę czy syna przyzwyczajają się do tego, w jaki sposób ono wchodzi w dorosłe życie. Wprawdzie zauważa jego słabości, ale na wiele z nich przyryka oczy kwitując stwierdzeniem, że młodość ma swoje prawa. Jednak, gdy zauważy, że coraz bardziej dziecko angażuje się w jakąś wspólnotę modlitewną, przestaje chodzić na imprezy, skromniej się ubiera, omija dyskoteki, unika przesiadywania przed telewizorem lub przy komputerze... zaczyna się niepokoić, a potem nawet wyrzucać, takie zachowanie jako coś dziwnego i nienormalnego.

Tak też czynił Piotr Bernardone. Na wiele młodzieńczych wybryków pozwalał swojemu synowi. Problem pojawił się dopiero wtedy, gdy Franciszek zaczął zachowywać się inaczej niż jego rówieśnicy, gdy przyłgnał sercem do Boga i pociągnięty Jezusowym wezwaniem zaczął pracować przy naprawie kościoła. Gdyby Franciszek zniknął na długo z pieniędzmi ojca, a po powrocie wytłumaczył, że wyskoczył gdzieś z kolegami i wszystko przepuścił, ojciec zapewne nie wtrąciłby go za to do lochu. We wściekłość wprowadziło go to, że jego syn był inny!!!, a sąsiedzi, widząc to, nie szczędzili mu złośliwych komentarzy. Trudno na to patrzeć, słuchać i spokojnie znosić, a więc wszelkimi sposobami trzeba by nakłonić do normalności...

Czasami w ten sposób można kogoś odwieść od podjęcia powołania. Na szczęście, jeżeli w sercu jest szczerza miłość do Boga, takie przeciwności, choć chwilami trudne do udźwignięcia, utwierdzają młodego człowieka w przekonaniu o dobrym wyborze. Dlatego i Franciszek „nie poruszony ani słowami, ani nie złamany biciem, ani więzieniem, znosząc wszystko cierpliwie, stał się jeszcze chętniejszy i bardziej zdecydowany w dążeniu do świętego zamiaru”.

Wybór Ojca

Podjęcie drogi powołania niekiedy wymaga złożenia naprawdę wielkiej ofiary ze strony osoby powołanej. Chyba najboleśniej i najtrudniej jest to, gdy wybierając Jezusa i nie znajdując zrozumienia w rodzinie trzeba wejść z nią w bolesny konflikt, podobnie jak to właśnie miało miejsce w życiu Świętego Biedaczyny. Dlaczego Pan Bóg dopuszcza do takich sytuacji? Chyba trudno by było dać jednoznaczną odpowiedź. Jednak przypominają się w tym miejscu słowa z Ewangelii, które wypowiedział sam Pan Jezus: „Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, ażeby już zapłonął. (...) Czy myślicie, że przyszedłem dać ziemi pokój? Nie, powiadam wam, lecz rozłam. Odtąd bowiem pięcioro będzie podzielonych w jednym domu: troje stanie przeciw dwojgu, a dwoje przeciw trojgu; ojciec przeciw synowi, a syn przeciw ojcu; matka przeciw córce, a córka przeciw matce; teściowa przeciw synowej, a synowa przeciw teściowej” (Łk 12, 49-53).

Przyjście Jezusa dzieli nie dlatego, że On tego chce, ale ze względu na zatwardziałość ludzkich serc, które nie chcą rozpoznać w Nim ognia zbawczej Miłości. Z tego też powodu Bernardone nie rozumiał swojego syna, co było przyczyną cierpienia dla niego samego, jak i dla całej rodziny. Zamknięcie bowiem opornego dziecka w domowych piwnicach niczego nie rozwiązywało. Wiedziała o tym Pika, matka Franciszka dlatego na początku, wykorzystując czas nieobecności męża, starała się w życzliwej rozmowie nakłonić syna do podporządkowania się wymaganiom ojca, ale widząc, że Franciszek nadal trwa przy swoim wyborze wypuściła go na wolność. Ona jako jedyna zawsze starała się zrozumieć jego postępowanie. Dzięki temu wrócił do kościoła św. Damiana i kontynuował rozpoczęte prace. Jego serce zaś dojrzywało coraz bardziej do radykalnego rozstania się z tym wszystkim, co mogłoby stawać na przeszkodzie w pełnym oddaniu swego życia Jezusowi.

Natomiast Piotr Bernardone po powrocie z podróży, nie zastawszy syna w lochu, całą złość przełał na żonę. Następnie zaś podjął ostatnią próbę złamania woli Franciszka. Udał się do rady miejskiej domagając się rozwiązania konfliktu na drodze sądowej. Jednak radni nie chcieli ingerować w tę sprawę, twierdząc, że odkąd przystąpił do służby Bożej nie podlega już ich władzy. Zgodnie więc z procedurami prawnymi, teraz Franciszka mógł osądzić tylko biskup Asyżu. Młody Bernardone wezwany na rozprawę stawiał się posłusznie przed biskupem Gwidonem. Wieść o sądzie szybko obiegła Asyż i na placu przed siedzibą biskupa zgromadziła liczną rzeszę ludzi.

Ojciec domagał się, aby biskup wymógł na jego synu zwrot pieniędzy, które ten uzyskał, sprzedając materiały wzięte ze sklepu. Gdy biskup Gwidon przekazał żądania Piotra Bernardone, Franciszek bez wahania zgodził się na to, zapewniając, że odda mu także ubrania, które też są własnością ojca. Następnie udał się na chwilę do pokoju i stamtąd wyszedł na widok publiczny zupełnie nagi, niosąc w ręku ubranie i pieniądze.

Oddawszy to wszystko ojcu powiedział wobec zgromadzonych: „Słuchajcie mnie wszyscy i rozumieście. Aż dotąd nazywałem Piotra Bernardone moim ojcem. Ponieważ jednak zdecydowałem się służyć Bogu, oddaję mu pieniądze, z powodu których był rozgniewany, a także wszystkie szaty, które otrzymałem od niego. Chce odtąd mówić: Ojciec nasz, któryś jest w niebie, a nie: Ojciec, Piotrze Bernardone.” Tłum wzruszył się postawą młodzieńca, a biskup wziął go w ramiona i okrył swoim płaszczem.

Było to na pewno bardzo dramatyczne doświadczenie dla Franciszka. Ten, który kiedyś marzył o rycerskim stanie i pięknym zamku, teraz rezygnując nawet z posiadanego statusu mieszczanina, schodzi do najuboższej części społeczeństwa: trędowatych, wyobcowanych, bezdomnych, pogardzanych. Gest obnażenia ma tutaj ogromne znaczenie.

W średniowieczu nagość była jedną z form upokorzenia, przewidzianą prawem kanonicznym dla pokuty publicznej: zdejmując szaty, w których tyle razy bawił się, tańczył, bywał na spotkaniach towarzyskich czy też włóczył się po asyckich ulicach, Franciszek odrzucał w całości przeszłość i wybierał drogę naśladowania obnażonego z szat Chrystusa. Jak ten gest ma rozumieć młody człowiek żyjący teraz - w XXI w.?

Wybór szaty

W naśladowaniu Świętego z pewnością nie chodzi o to, żeby rozliczać się z rodziną przed sądem, ani też urządzać takie widowisko w swojej miejscowości czy na osiedlu mieszkaniowym. Czyny Franciszka są wyrazem jego bardzo indywidualnej osobowości, a więc powielanie ich nie miałoby sensu. Nie oddawałoby charakteru naszego osobistego podążania za Chrystusem. Scena obnażenia musi być przez nas odczytana przede wszystkim w swojej zasadniczej czyli duchowej głębi. W tym wymiarze uchwycimy przekaz, który dotyczy każdej osoby pragnącej oddać swoje życie Jezusowi. Franciszek obnażył się z szat, które otrzymał od swojego ojca. Gdy zajrzemy do słownika łacińskiego, dowiemy się, że znaczenie słowa szata oddawane jest za pomocą słowa habitus, które to z kolei oznacza także sprawności moralne, cnoty.

Pozwala nam to zrozumieć, że młody Bernardone w ten sposób oddawał ojcu nie tylko same ubrania, ale rozstawał się ze wszystkim, co od niego otrzymał, a więc z konkretnym wychowaniem, wartościowaniem, myśleniem; opuszczał wszystko, co mogłoby stanowić przeszkodę w pełnym pójściu za głosem powołania. Odtąd ma już tylko tego Ojca, który jest w niebie i przez Niego chce być wychowywany, Jemu podporządkowany i Jego szatą okryty. Franciszek musi się nauczyć postaw godnych tego sposobu życia, który obierał - postaw sługi Bożego. Dlatego pozwala się okryć płaszczem biskupa, czyli szatą Kościoła Chrystusowego, któremu zapragnął służyć.

I podobnie każdy powołany musi wewnętrznie opuścić dom, w którym dotąd się wychowywał i nabyty w wyniku wychowania sposób życia. Jest to warunek otwarcia się na formację zakonną,

która ofiarowuje osobie powołanej szatę cnót skrojoną według Reguły i Konstytucji tego oto konkretnego zakonu, szatę będącą częścią szaty Kościoła.

Trzeba jednak zaznaczyć, że w wyborze szaty Kościoła nie chodzi o odrzucenie wszelkiego dobra, które w wyniku wychowania wynosi się z domu, ale o otwarcie serca na nowe wartości, dzięki którym osoba powołana będzie mogła duchowo wzrastać we wspólnocie zakonnej. Cierpienie związane z relacjami rodzinnymi, które tak boleśnie dotknęło Franciszka nie jest jakąś normą.

Nie każdy musi przez to przechodzić. Raczej rzadko rodzice aż tak kategorycznie sprzeciwiają się drodze powołania obranej przez syna czy córkę. Gdy sprzeciw jednak się pojawia, to często wynika on po prostu z troski o dziecko, aby nie podejmowało pochopnych decyzji. Zdarza się, że trudno jest im uwierzyć w wystarczającą dojrzałość dziecka, pozwalającą na odpowiedzialne kierowanie swoim życiem. Czasami tato albo mama mówi wprost, że nie pochwała takiego wyboru, ale go szanuje i nie chce w niczym przeszkadzać.

Z pewnością nie opiszemy tutaj wszelkich możliwych napięć i trudnych sytuacji rodzinnych, które towarzyszą podejmowaniu drogi powołania. Jednak doświadczenia św. Franciszka sygnalizują wyraźnie, że pójście za Jezusem wymaga od powołanego zgody na rozstanie z najbliższymi i na ból, który temu towarzyszy.

Piotr Bernardone nie podjął trudu zrozumienia swojego syna. Ile razy spotykał go w Asyżu nie szczędził przekleństw. Bardzo bolało to Franciszka, ale nie wycofał się ze słowa danego Jezusowi i żyjąc z jałmużny odbudowywał kościół. Ubrał się w ubogi strój pustelnika. Chodził i żebrał: prosił o jedzenie, o kamienie na budowę i o oliwę na oświetlenie kościoła. Nie miał żadnych pewnych środków do życia. Nigdy nie wiedział jak przeżyje następny dzień, a to czym się żywił - jak podają biografowie - było mieszaniną resztek różnych pokarmów, którymi napełniali jego miskę mieszkańcy Asyża.

Gdy po raz pierwszy spróbował takiej potrawy ledwo powstrzymał odruch wymiotny. Można się więc domyślać jak bardzo musiał różnić się ten pokarm od posiłków przygotowywanych w rodzinnym domu rękami kochającej i troskliwej matki. Zadziwiające, że ten delikatny i rozpieszczony przez rodziców młodzieniec zdecydował się na tak radykalną zmianę w sposobie życia. Takiego cudu w ludzkim sercu może dokonać tylko prawdziwa miłość, a Franciszek ponad wszystko umiłował Chrystusa, który przemówił do niego z krzyża w zrujnowanym kościele św. Damiana.

Na realizacji Bożego wezwania do odbudowy kościoła minęły mu dwa lata. Dwa lata przełamywania wstydu ilekroć z miską stawał u drzwi domów bogatych mieszczan, dwa lata znoszenia kpin i upokorzeń, dwa lata ciężkiej pracy i życia w samotności... Nie stanął przy nim żaden z dawnych przyjaciół, nikt nie zdecydował się dzielić z nim takiego losu... Czyżby więc celem jego życia miało być remontowanie zniszczonych kościołów? Po co ten trud? Nie wiadomo czy zadawał sobie takie pytania. Wszystko, co działo się wówczas w sercu Franciszka pozostaje tajemnicą. Można jednak domyślać się, że nie było mu łatwo oczekiwać na kolejne dotknięcie Bożej łaski. Ważne jest to, że nie trwał w beczynności. Modląc się i wielbiąc Boga, ciężko pracował wypełniając zadanie, do którego wezwał go Chrystus. Odbudowywał kościół używając kamieni. Wkrótce miał się dowiedzieć o innym sposobie budowy.

To jest to, czego chcę

Wiedzieć czego się chce, na czym nam zależy, do czego chcemy dążyć w życiu to już połowa sukcesu! Młodość jest czasem odkrywania tego właściwego i jedyne dla każdego z nas powołania. Czasami trwa to kilka lat, a niekiedy tylko kilka miesięcy, ale każdy otrzymuje odpowiednie łaski od Boga, żeby móc swoje poszukiwania zwieńczyć stwierdzeniem: „To jest to, czego chcę”. Tak właśnie po czterech latach wsłuchiwania się w Boże natchnienia i podejmowania zgodnych z nimi działań, powiedział Franciszek, gdy pewnego dnia usłyszał w czasie Mszy św. słowa, które Chrystus skierował do Apostołów, wysyłając ich na głoszenie Dobrej Nowiny:

„Nie bierzcie na drogę ani złota, ani srebra, ani torby, ani ubrań, ani laski; nie miejcie sandałów na nogach ani dwóch tunik” (Mt 10, 9-10).

Były to słowa olśnienia, bo chociaż słyszane wiele razy w ciągu życia - po raz pierwszy przemówiły tak mocno, wiążąc w sposób jednoznaczny jego życie z Ewangelią. Franciszek już rozumiał, że ma być jeszcze bardziej ubogi, więc natychmiast porzucił strój pustelniczy, ubrał się w suknię z szorstkiego sukna i przepasał zwykłym sznurkiem, zdjął sandały i według wskazań Ewangelii, nie używając odtąd laski ani nie nosząc ze sobą torby, wyruszył głosić pokutę, czyli wzywać ludzi do chrześcijańskiego sposobu życia.

Głosząc kazania nie karcił i nie groził nikomu piekłem, ale głosił pokój, który stał się jego udziałem, gdy opuścił wszystkie dobra materialne i poszedł za Jezusem: „Niech Pan obdarzy was pokojem” - tak pozdrowiał swoich słuchaczy. Jego serce wypełniała radość. Słowo Boże jak lampa rozjaśniało jego drogę (por. Ps 119, 105). Nie miał nic, był żebrakiem, jego jedynym skarbem była ogromna miłość do Miłości - do Boga. Dlatego mógł wołać: „Deus meus et omnia!” - „Bóg mój i wszystko!”.

W Bogu cały świat należał do niego - każde stworzenie mówiło mu o miłości i dobroci Boga, więc uwielbiał Stwórcę, nazywając wszystko bratem lub siostrą. Jeżeli doświadczał smutku w głębi duszy, jeżeli płakał, to tylko z tego powodu, że dostrzegał jak bardzo „Miłość nie jest kochana!” przez ludzi. Dlatego też - jak piszą biografowie - „zachęcał wszystkich, by kochali i bali się Boga, a także by pokutowali za grzechy”.

Franciszek został pochwycony przez ubogiego Chrystusa i już nie wyobrażał sobie życia innego jak tylko to, które zostało mu wskazane przez Jego słowo. Taki też sposób życia przekazał swoim braciom. W Regule franciszkańskiej czytamy: „Reguła i życie braci mniejszych polega na zachowywaniu świętej Ewangelii Pana naszego Jezusa Chrystusa przez życie w posłuszeństwie, bez własności i w czystości”.

Franciszek nie chciał zakładać żadnego zakonu, chciał tylko służyć Panu. Jednak przykładem radykalnego życia Ewangelią pociągnął ku Chrystusowi wielu młodych ludzi. Ruch franciszkański szybko rozprzestrzenił się w różne strony świata, przyczyniając się do duchowej odnowy Kościoła.

Każdy człowiek słyszący Chrystusowe wezwanie „Pójdź za Mną” jest zapraszany przez Jezusa do odbudowy Kościoła w jego duchowym wymiarze. Przykład Biedaczyny z Asyżu pokazuje nam jak

bardzo wiele dobra można uczynić tylko przez to, że podejmiemy się swoje życiowe powołanie. Wystarczy, że zechcemy być otwarci i dyspozycyjni, a sama miłość Boża będzie czyniła z nas swoje narzędzie i będzie przemieniała świat przez miłość naszych serc i przez dobre czyny naszych rąk.